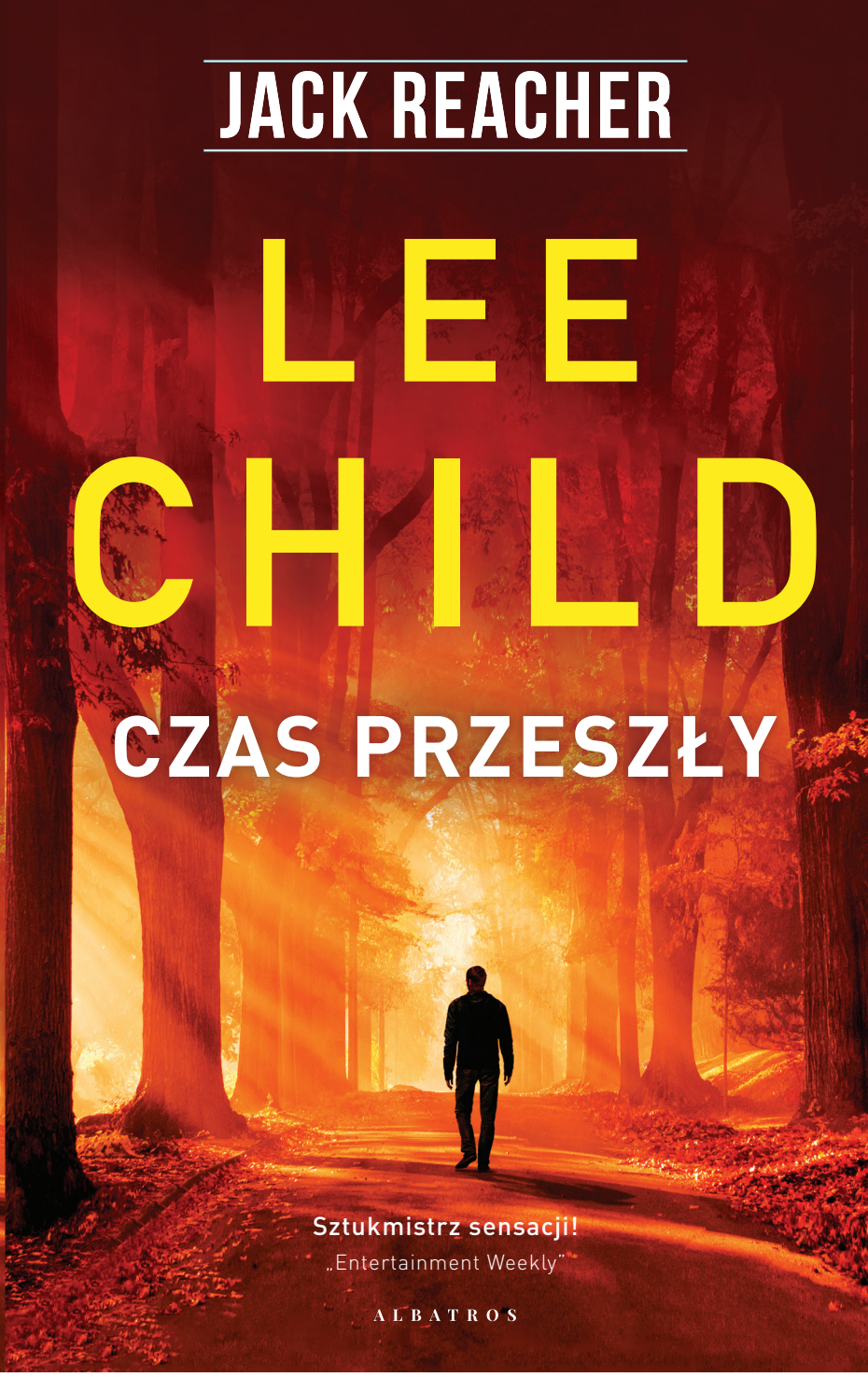




JACK REACHER

**LEE
CHILD**

CZAS PRZESZŁY

Sztukmistrz sensacji!

„Entertainment Weekly”

ALBATROS

1

W małym miasteczku na wybrzeżu Maine Jack Reacher schwycił ostatnie promienie letniego słońca, a potem, tak jak ptaki na niebie, rozpoczął długą wędrówkę na południe. Ale nie, nie brzegiem morza. Nie jak kacyki, trznadle, tyranki, lasówki czy kolibry o rubinowych gardziółkach. W przeciwieństwie do nich postanowił wziąć kurs na skos, na południowy zachód, z prawego górnego rogu kraju do lewego dolnego, może przez Syracuse, Cincinnati, Saint Louis, Oklahoma City i Albuquerque, a stamtąd jeszcze dalej, aż do San Diego. Gdzie, jak dla byłego wojskowego, takiego jak on, kręciło się trochę za dużo marynarzy, ale można było przyjemnie rozpocząć zimę.

Miała to być prawdziwie epicka podróż, wyprawa, jakiej nie podejmował od lat.

Nie mógł się już doczekać.

Nie zawędrował daleko.

• • •

Kilometr, może półtora kilometra od wybrzeża natrafił na wiejską drogę, więc stanął na poboczu z uniesionym kciukiem. Wysoki – w butach miał prawie sto dziewięćdziesiąt

pięć centymetrów wzrostu – potężnie zbudowany, z samych mięśni i kości, niezbyt przystojny, nie za dobrze ubrany i nieco zaniedbany, nie należał do tych, których chętnie się zabiera. Jak zwykle większość kierowców zwalniała, przysłądzała się, po czym jechała dalej. Pierwszy, który gotów był zaryzykować – szczupły mężczyzna w średnim wieku – nadjechał po czterdziestu minutach, rocznym kombi subaru. Był w chinosach i wyprasowanej koszuli w kolorze khaki; pewnie ubierała go żona, bo na palcu miał obrączkę. Ale pod gatunkowymi spodniami i koszulą kryło się ciało robotnika. Gruba szyja, duże, czerwone kłykie – sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego tym, że jest biznesmenem, i wcale nie zachwyconego. Jak ktoś, pomyślał Reacher, kto zaczyna od kopania dziur w ziemi i kończy jako szef firmy zajmującej się stawianiem płotów i ogrodzeń.

Trafił w dziesiątkę. Już na początku rozmowy okazało się, że – nie licząc starego młotka stolarskiego ojca – facet zaczynał dosłownie z niczym, żeby po latach zostać właścicielem firmy budowlanej zatrudniającej czterdziestu pracowników i odpowiedzialnej za nadzieje i marzenia sporej grupy klientów. Zakończył swoją opowieść lekkim skrzywieniem twarzy, grymasem, z którego przebijały jankeska skromność i szczere zdumienie, miną z cyklu: Jakim cudem? Dbałość o szczegóły, pomyślał Reacher. Siedział obok niego ktoś, kto miał lekarstwo na wszystko, człowiek bardzo dobrze zorganizowany i sypiący starymi maksymami, ktoś o żelaznych poglądach, z których jeden mówił, że pod koniec lata lepiej się trzymać z dala zarówno od międzystanówki I-95, jak i od drogi numer jeden, co więcej, lepiej jest jak najszybciej dać nogę z Maine, czyli zboczyć z utartego szlaku na dwójkę, pojechać prosto do New Hampshire i zahaczyć o południowe przedmieścia Berlina, gdzie jest kilka bocznych

dróg, którymi migiem dojadą do Bostonu. Bo tam właśnie jechał, na spotkanie w sprawie marmurowych blatów. Co Reacherowi w sumie odpowiadało. Równie dobrze mógł zacząć wędrowkę od Bostonu, nie widział w tym nic złego. Zupełnie nic. Mógł stamtąd pojechać prosto do Syracuse. A potem do Cincinnati przez Rochester, Buffalo i Cleveland. Może nawet przez Akron w Ohio. Bywał w gorszych miejscach. Głównie w wojsku, służbowo.

Ale nie dojechali do Bostonu.

Po pięćdziesięciu kilku minutach jazdy wyżej wspomnianymi bocznymi drogami New Hampshire mężczyzna odebrał telefon. Nawiasem mówiąc, nie przesadzał, bo drogi okazały się rzeczywiście dobre i jego plan miał ręce i nogi. Ruch? Żaden. Ani korków, ani objazdów. Cały czas pruli prawie setką, równo i bez wysiłku. Dopóki nie zadzwonił telefon. Był podłączony do radia i na ekranie nawigacji ukazało się czyjeś nazwisko z miniaturową fotografią w charakterze pomocy wizualnej, w tym przypadku zdjęciem rumianego mężczyzny w kasku budowlanym z podkładką do pisania w ręce. Pewnie brygadzysty. Kierowca dotknął przycisku i w samochodzie rozległ się głośny syk, ze wszystkich głośników naraz, jak w stereo do kwadratu.

– Oby to była dobra wiadomość – powiedział do lewego słupka.

Ale wiadomość była zła. Chodziło o inspektora z miejskiego wydziału budownictwa i o metalową okładzinę przewodu kominowego w kominku w holu wejściowym, szybu doskonale izolowanego, w stu procentach zgodnie z przepisami, sęk w tym, że nie można było tego sprawdzić wizualnie bez zrywania kamieniarki, w tej chwili na dwa piętra wysokiej, prawie ukończonej – za tydzień wchodziła tam ekipa tynkarzy – albo bez zrywania robionej na zamówienie

stolarki z orzecha w jadalni po drugiej stronie szybu, albo rozpruwania palisandrowej stolarki w garderobie na piętrze, nad kominkiem, co byłoby jeszcze bardziej skomplikowane. Inspektor, uparty palant, miał to gdzieś i chciał zobaczyć wszystko na własne oczy.

Kierowca zerknął na Reachera i rzucił:

- Który to?
- Ten nowy – odparł budowlaniec w kasku.
- Wie, że dostanie indyka na Święto Dziękczynienia?
- Powiedziałem mu, że gramy w tej samej drużynie.

Kierowca znów zerknął na Reachera, jakby prosił go o pozwolenie albo przeproszał, a może prosił i jednocześnie przeproszał.

- Zaproponowałeś mu kasę?
- Pięć stów. Nie chciał wziąć.

Wtedy stracili zasięg. Brygadzysta zabulgotał jak wrzuceny do wody robot, a potem umilkł. Na ekranie nawigacji ukazał się napis, że komórka szuka zasięgu.

Jechali dalej.

– Po co komu kominek w holu wejściowym? – spytał Reacher.

- Robi ciepłą atmosferę.
- Kiedyś miał odstraszać, tak myślę. Jak ognisko u wejścia do jaskini. Żeby drapieżniki nie weszły.
- Muszę wracać – powiedział kierowca. – Bardzo mi przykro.

Zwolnili, zjechali na zwirowe pobocze i przystanęli. Samotni jak dwa kołki w płocie na zupełnym odludziu. Na drodze nie było ani jednego samochodu. Komórka wciąż szukała sygnału.

- Tu pana wysadzę. Może być?
- Jasne – odrzekł Reacher. – Kawałek mnie pan podwiózł. Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co.
- Czyja to garderoba?
- Klienta.

– Niech pan każe wyciąć tam dużą dziurę i pokaże ją inspektorowi. A potem niech pan przedstawi klientowi pięć rozsądnych powodów, dla których warto mieć w domu sejf. Bo taki typ na pewno chce mieć ścienny sejf. Może jeszcze o tym nie wie, ale ktoś, kto buduje kominek w holu wejściowym, prędzej czy później pomyśli o sejfie. W sypialni albo w garderobie. Na sto procent. Natura ludzka. Jeszcze pan na tym zarobi. Wybicie dziury trwa. Niech pan mu każe zapłacić za czas.

- Pan też w tym robi? – spytał kierowca.
- Kiedyś byłem żandarmem wojskowym.
- Hę? Nieźle.

Reacher wysiadł, zamknął drzwi i odszedł na bok, żeby facet mógł zawrócić, od zwirowego pobocza do zwirowego pobocza, tam i z powrotem, na kilka razy. Co też zrobił, po czym odjechał, ze smutkiem machnąwszy ręką, pewnie życząc mu w ten sposób powodzenia. Kiedy samochód zmalął w oddali, Reacher ruszył na południe, tam, dokąd zmierzał. Lubił iść naprzód. Nie zawsze przed siebie, lecz zawsze naprzód. Na drodze, dobrze utrzymanej, dość szerokiej dwupasmówce, było trochę zakrętów i wzniesień. Co dla współczesnego samochodu nie stanowiło żadnego problemu. Subaru spokojnie wyciągało tu setkę. Mimo to droga świeciła pustkami. Dosłownie. Nic nią nie nadjeżdżało, ani z jednej, ani z drugiej strony. Panowała kompletna cisza. W drzewach wzdychał jedynie wiatr, a pod nogami cichutko szemrał rozgrzany asfalt.

Reacher szedł przed siebie.

• • •

Trzy kilometry dalej droga skręcała w lewo, odbijając od odnogi skręcającej w prawo, identycznej pod względem szerokości i wyglądu. Właściwie to nawet nie skręcała. Dawała wybór. Klasyczne rozwidlenie w kształcie litery Y. Skręć kierownicą leciutko w lewo, skręć leciutko w prawo. Twoja decyzja. Obie drogi ginęły za drzewami tak potężnymi i gęstymi, że tworzyły tunel.

Stał tam znak drogowy.

Na przekrzywionej strzałce w lewo widniał napis PORTSMOUTH, a na równie przekrzywionej strzałce w prawo – LACONIA. Z tym że napis na strzałce w prawo, nieco mniejszej niż ta wskazująca w lewo, wykonano drobniejszymi literami, jakby Laconia liczyła się mniej niż Portsmouth. Jakby była zapadłą dziurą, choć do jednego i drugiego miasta prowadziły identyczne drogi.

Laconia w New Hampshire.

Reacher znał tę nazwę. Widział ją w różnych dokumentach rodzinnych, czasem ją przy nim wymieniano. Tam urodził się jego ojciec, tam mieszkał do chwili, gdy jako siedemnastoletni chłopak postanowił wstąpić do piechoty morskiej. Przy najmniej tak głosiła cokolwiek mętna legenda rodzinna. Po prostu uciekł, nie wiadomo, od czego czy przed kim. W każdym razie już tam nie wrócił. Ani razu. Reacher urodził się ponad piętnaście lat później, w czasach, kiedy Laconia była jedynie małym szczegółem dawno zapomnianej przeszłości, miejscem równie odległym jak Terytorium Dakoty, gdzie podobno mieszkali i pracowali jego przodkowie. Nikt z rodziny nigdy tam nie jeździł. Ani tu, ani tam. Żadnych wizyt czy odwiedzin. Dziadkowie zmarli młodo i w domu rzadko o nich wspomniano. Ciotek, wujków, kuzynów czy dalekich krewnych Reacherowie najwyraźniej nie mieli. Co ze statystycznego punktu widzenia było mało prawdopodobne

i sugerowało istnienie jakiejś luki. Ale ojciec, jedyne źródło wiarygodnych informacji, już nie żył, a kiedy jeszcze żył, nikt nie próbował ich z niego wyciągnąć. W rodzinach żołnierzy służących w piechocie morskiej o pewnych rzeczach po prostu się nie mówiło. Dużo później brat Reachera, Joe, już jako kapitan stacjonujący w jednostce na północy kraju, wspomniał, że być może spróbuje odnaleźć ich stary dom, lecz nic z tego nie wyszło. Reacher pewnie też czasem o tym wspominał. Nigdy jednak tam nie pojechał.

W lewo czy w prawo. Twoja decyzja.

Duży ruch, autostrady, autobusy – Portsmouth byłoby lepsze. Szybko dostałby się stamtąd do Bostonu. San Diego bardzo kusiło. Na północnym wschodzie robiło się coraz zimniej.

Z drugiej strony, cóż znaczy jeden dzień?

Skręcił w prawo, w drogę prowadzącą do Laconii.

• • •

Tego samego późnego popołudnia i w tym samym czasie, tylko inną drogą, pięćdziesiąt kilometrów dalej, jechała mocno przechodzona honda civic, którą prowadził dwudziestopięcioletni mężczyzna, Shorty Fleck. Obok niego siedziała dwudziestopięcioletnia kobieta, niejaka Patty Sundstrom. Byli parą i oboje urodzili się i wychowali w Saint Leonard, małym, odległym miasteczku w kanadyjskim Nowym Brunszwiku. Niewiele się tam działo. Do największej sensacji doszło przed dziesięciu laty, kiedy ciężarówka wioząca dwanaście milionów pszczoł przewróciła się na zakręcie. Miejscowa gazeta z dumą doniosła, że był to pierwszy tego rodzaju wypadek w Nowym Brunszwiku. Patty, wnuczka mieszkańca Minnesoty, który pół wieku wcześniej uciekł na północ, żeby uniknąć poboru do wojska i Wietnamu, pra-

cowała w tartaku. Shorty uprawiał ziemniaki. Jego rodzina mieszkała w Kanadzie od zawsze. I chociaż mówili na niego Krótki, wcale nie był niski. Może kiedyś, jako mały chłopiec. Uważał, że dla postronnego obserwatora jest teraz średnio przystojnym facetem.

Jechali z Saint Leonard do Nowego Jorku. I chcieli jechać tam non stop. Czysty hardkor, ale hardkor bardzo korzystny. Mieli coś do sprzedania i oszczędzając na hotelu, zarobiliby więcej. Żeby uniknąć fali wracających znad morza wczasowiczów, starannie zaplanowali całą trasę, rozpracowali wszystkie boczne drogi i objazdy na zachód; Patty z kołkowatym palcem na mapie, czujnie wypatrywała następnego skrzyżowania i znaku. Zsumowali kilometry na papierze i wyszło im, że rzecz jest wykonalna.

Z tym że wyjechali później, niżby chcieli, przez ogólny bałagan, ale przede wszystkim dlatego, że stary akumulator hondy odmówił współpracy na jesiennym chłodzie, który nadciągnął wraz z wiatrem wiejącym od Wyspy Księcia Edwarda. Spóźnieni, długo czekali w kolejce na granicy, a potem honda zaczęła się przegrzewać, więc musieli zwolnić do osiemdziesiątki i jechać tak parę godzin.

Byli zmęczeni.

I głodni, i spragnieni, i spóźnieni, no i chciało im się sikać. Byli też sfrustrowani. Silnik hondy znów się przegrzewał. Wskaźnik temperatury muskał czerwoną kreskę. Coś zgrzytało pod maską. Może mieli za mało oleju. Nie mogli tego sprawdzić, bo od dwóch i pół roku wszystkie lampki na desce rozdzielczej świeciły się na czerwono.

– Co jest przed nami? – spytał Shorty.

– Nic – odparła Patty, sunąc czubkiem palca po opatrzonej trzycyfrowym numerem krętej czerwonej linii, biegnącej

z północy na południe przez wystrzępiony bladozielony placzek. Teren lesisty. Co potwierdzał rozciągający się za oknem widok. Z lewej i prawej strony napierały na nich drzewa, ciemne i nieruchome, ciężkie od wczesnojesiennych liści. Tu i ówdzie widziała na mapie krótkie czerwone linie, cieniutkie jak pajęcza nić albo jak żyłki na nodze wiekowej staruszki, drogi, które dokądś prowadziły, ale na pewno nie do miasta czy choćby wsi, gdzie mogliby znaleźć mechanika, zmienić olej albo dolać wody do chłodnicy. Najpewniejszym kandydatem było coś leżącego pół godziny jazdy dalej, miasto, którego nazwę wypisano dość dużymi, lekko pogrubionymi literami, co znaczyło, że jest tam przynajmniej stacja benzynowa. Laconia. – Damy radę zrobić jeszcze trzydzieści dwa kilometry? – spytała.

Wskaźnik temperatury wszedł już na czerwone pole.

– Może – odparł Shorty. – Pod warunkiem że ostatnie trzydzieści przejdziemy piechotą.

Zwolnił jeszcze bardziej i jechał teraz, prawie nie dodając gazu, dzięki czemu silnik mniej się grzał, ale co powodowało, że do chłodnicy wpadało na tyle mało świeżego powietrza, że prawie nie wypierało spod maski tego gorącego. Skutek? Wskaźnik temperatury wciąż pełznął w górę. Oceńwszy ich prędkość, Patty przesunęła palec nieco wyżej. Po prawej stronie drogi widniała kolejna czerwona żyłka. Cieniutka kreseczka biegnąca przez zieleń do czegoś leżącego dwa i pół centymetra dalej. Bez świstu powietrza wpadającego przez nieszczelne okno wyraźnie słyszała dochodzące z silnika odgłosy. Stuki, brzdęki, zgrzyty – robiło się coraz gorzej.

Po chwili po prawej stronie szosy zobaczyła skręt w wąską drogę. Czerwona żyłka, w samą porę. Z tym że droga nie

wyglądała jak droga, tylko jak tunel. Ciemny tunel utworzony przez stykające się ze sobą korony drzew. Na omszałym słupie wisiała tablica, do której przymocowano kilka ozdobnych plastikowych liter i strzałkę. Litery układały się w słowo *Motel*.

– Skręcamy? – spytała.

Odpowiedział samochód. Wskaźnik temperatury dotarł już do końca czerwonego pola. Shorty miał gorące nogi, smażyła się komora silnika. Zastanawiał się przez sekundę, co by było, gdyby pojechali dalej. Podobno silniki wybuchają wtedy i się topią. Ale pewnie tak się tylko mówi. Nie byłoby kałuż płynnego metalu ani żadnej eksplozji. Silnik po prostu by zdechł, i już, po cichu i spokojnie. Albo by się zatarł. Albo zacząłby łagodnie zwalniać i w końcu na dobre by stanął.

Rzecz w tym, że jechali przez zupełne pustkowienie, gdzie nie było żadnych samochodów i gdzie komórka nie łąpała sygnału.

– Nie mamy wyboru. – Zahamował i skręcił. Z bliska okazało się, że plastikowe litery na tablicy pomalowano na złocisty kolor, cienkim pędzelkiem i wprawną ręką, jakby motel był przybytkiem wysokiej klasy, piękną obietnicą. Identyczna tablica wisiała na słupie naprzeciwko, tak żeby widzieli ją kierowcy nadjeżdżający z drugiej strony.

– To jak? – spytał Shorty. – Okej?

W tunelu było chłodno. Dobre dziesięć stopni chłodniej niż na szosie. Na poboczach w błocie z zeszłorocznej zimy leżały zgniłe liście z zeszłej jesieni.

– Okej? – powtórzył Shorty.

Przejechali przez kabel leżący w poprzek drogi. Gruby i obciążony gumą, niewiele cieńszy od węża ogrodowego. Taki, przez jakie przejeżdża się na stacjach benzynowych,

żeby zadzwoniło i człowiek w budynku wiedział, że ma wyjść i ci pomóc.

Patty nie odpowiedziała.

– Przecież nie może być tak źle – dodał Shorty. – Jest na mapie.

– Droga też.

– I mają ładny szyld.

– Fakt – zgodziła się z nim Patty.

Pojechali dalej.

2

Drzewa chłodziły i odświeżały powietrze, więc szedł z prędkością prawie sześciu i pół kilometra na godzinę, co przy długości jego nóg oznaczało dokładnie osiemdziesiąt osiem kroków na minutę, a ponieważ osiemdziesiąt osiem równych uderzeń butami w ziemię to rytm wielu wspaniałych kawałków muzycznych, czas szybko płynął. Po trzydziestu minutach, trzech kilometrach i siedmiu odegranych w głowie klasycznych hitach usłyszał z tyłu dźwięk rzeczywisty i odwróciwszy się, zobaczył starego pick-upa, który zmierzał ku niemu bokiem, niczym wielki krab, ponieważ każde koło chciało jechać w inną stronę.

Uniósł kciuk.

Pick-up przystanął. Starszy mężczyzna z długą białą brodą przechylił się nad siedzeniem pasażera i opuścił szybę.

- Jadę do Laconii.
- A ja idę – powiedział Reacher.
- No i dobra.

Reacher wsiadł i zamknął okno. Ruszyli i kołysząc się na boki, powoli nabrali prędkości.

- Pewnie powie pan zaraz, że powinienem zmienić opony – powiedział starsuszek.
- Całkiem możliwe.

– W moim wieku unika się dużych inwestycji. Inwestować w przyszłość? Po co? Czy ja w ogóle jakąś mam?

– To błędne koło. Bardziej błędne niż wszystkie pańskie razem.

– Właściwie to rama jest krzywa. Miałem wypadek.

– Kiedy?

– Prawie dwadzieścia trzy lata temu.

– Więc dla pana to normalne.

– Nie pozwala mi przysnąć.

– Skąd pan wie, jak kręcić kierownicą? – spytał Reacher.

– Można przywyknąć. Wsiadasz pan i sterujesz jak żaglówką. Po co jedzie pan do Laconii?

– Przejeżdżałem tędy. Mój ojciec się tam urodził. Chciałem zobaczyć miasto.

– Jak się pan nazywa?

– Reacher.

Staruszek pokręcił głową.

– W Laconii? Nie znam, nie słyszałem.

• • •

Okazało się, że droga rozwidlała się nie bez powodu. Powodem tym było jezioro na tyle szerokie, że kierowcy jadący z północy na południe musieli wybierać: prawy brzeg lub lewy. Oni, wciąż zataczając się i trzęsąc, wybrali prawy, z technicznego punktu widzenia dość stresujący, choć wizualnie piękny – widok był naprawdę oszałamiający, zwłaszcza w zachodzącym słońcu. W końcu wjechali do miasta. Było większe, niż Reacher się spodziewał. Gęsto zabudowane i zamożne. Piętnaście, dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Siedziba władz hrabstwa. Ceglane domy, porządnie utrzymane staroświeckie uliczki tonące w blasku czerwonego słońca – poczuł się jak na planie starego filmu.

Pick-up zachwiał się, zadygotał i stanął na rogu ulicy w centrum.

- Oto i nasze miasto – powiedział staruszek.
- Dużo się tu zmieniło? – spytał Reacher.
- Tutaj? Niewiele.
- Zawsze myślałem, że jest mniejsze.
- We wspomnieniach wszystko jest zwykle większe.

Reacher podziękował mu za podwózkę, wysiadł i długo odprowadzał samochód wzrokiem, patrząc, jak każde koło z piskliwym uporem utrzymuje, że pozostałe trzy nie mają racji. Potem odwrócił się i przeszedł kilka ulic, żeby zorientować się, gdzie co jest, zwłaszcza dwa konkretne miejsca, od których chciał zacząć nazajutrz rano, i dwa, które wymagały uwagi już teraz, czyli bar, gdzie mógłby coś zjeść, i hotel, gdzie mógłby się przespać.

Jedno i drugie znalazł w historycznym centrum miasta. Zdrowe jedzenie, restauracyjki nie szersze niż na dwa stoły. Moteli nie było, było za to mnóstwo gospód i pensjonatów ze śniadaniem. Zjadł w kiskowatym bistrze, bo przez okno uśmiechnęła się do niego kelnerka. Była chwila zakłopotania, kiedy przyniosła zamówienie, coś w rodzaju sałatki z rostbefem, którą uznał za najbardziej odżywczą, ale okazało się, że porcja jest mała. Poprosił więc o drugą, na większym talerzu. Początkowo kelnerka źle go zrozumiała. Myślała, że z pierwszą jest coś nie tak. Albo że zaserwowała ją na złym talerzu. Albo jedno i drugie. Załapała dopiero po chwili. Gość jest głodny. Chce podwójną porcję. Spytała, czy życzy sobie coś jeszcze. Zażyczył sobie większego kubka do kawy.

Potem wrócił do gospody, którą widział w bocznej uliczce w pobliżu urzędów miejskich. Mieli wolny pokój. Wakacje już się skończyły. Zapłacił – całkiem sporo – za coś, co właściwie nazywał apartamentem, ale co według Reachera było

upstrzonym kwiecistymi wzorami pokojem z kanapą i łóżkiem zawalonym puchowymi poduszkami. Zrzucił je na podłogę i włożył spodnie pod materac, żeby się wyprasowały. Potem wziął długi gorący prysznic, położył się i zasnął.

• • •

Tunel miał ponad trzy kilometry długości. Patty sunęła palcem po mapie, śledząc jego kształt. Koła hondy toczyły się powoli po szarym asfalcie, bardzo dziurawym, bo w wielu miejscach nawierzchnię całkowicie zmyła woda, żłobiąc płytkie dziury wielkości stołu bilardowego, w których prześwitywał prążkowany beton albo żwir, ale w większości pełne liści wciąż mokrych po wiosennych roztopach, ponieważ ciemnozielony baldachim był gęsty i jednolity, nie licząc miejsca, gdzie na przestrzeni dwudziestu kilku metrów nie rosło ani jedno drzewo i gdzie zobaczyli fragment jasnoróżowego nieba. Wąski kawałek innego rodzaju gleby? A może nagły uskok w skalnym podłożu albo jakaś hydrauliczna osobliwość, brak wody lub jej nadmiar. Jasnoróżowy wycinek nieba szybko został za nimi i znów zniknęli w ciemnym tunelu. Shorty jechał powoli, żeby nie dobijać amortyzatorów i oszczędzać silnik. Zastanawiał się, czy nie powinien włączyć świateł.

Po pewnym czasie zielony baldachim znów się przerzedził, zapowiadając, że prześwitów będzie coraz więcej, jakby mieli przed sobą dużą polanę, jakby dokąś dojeżdżali. W oddali droga wychodziła spomiędzy drzew i prostą linią przecinała niecały hektar płaskiej łąki, jak cienka, szara wstążka, raptem zupełnie naga i wystawiona na ostatnie światło dnia. Biegła w kierunku trzech sporych drewnianych budynków stojących jeden za drugim na długim, łagodnym zakręcie w prawo. Pierwszy dzieliło od ostatniego pięćdziesiąt metrów, tak na

oko, a wszystkie były pomalowane czerwonobrazową farbą i wykończone jaskrawą bielą. Na tle zielonej trawy wyglądały jak klasyczne nowoangielskie domy.

Najbliższy okazał się motelem. Niski, długi, obity czerwono-brązowymi deskami, o spadzistym dachu pokrytym szarym asfaltowym gontem, był jak obrazek w książce dla dzieci. W elementarzu. M jak motel. W pierwszym oknie świecił się czerwony neon: *Recepcja*. Obok recepcji były żaluzjowe drzwi do jakiegoś magazynu czy przechowalni, potem drzwi z numerem i zaopatrzone w roletę szerokie okno, pod którym stały trzy plastikowe fotele ogrodowe, kolejne drzwi, kolejne okno, i tak dalej, aż do końca budynku. Wzór się powtarzał. W sumie naliczyli dwanaście pokoi, jeden obok drugiego. Ale nie stał przed nimi ani jeden samochód. Przed żadnym, jakby motel świecił pustkami.

– No i co?

Patty nie odpowiedziała. Shorty zatrzymał samochód. Dalej stał drugi budynek, krótszy od motelu, lecz o wiele wyższy i szerszy. Coś w rodzaju stodoły. Ale stodoły bez zwierząt. W oczy rzucało się to, że prowadząca do drzwi betonowa rampa lśniła czystością. Mówiąc bez ogródek, że nie wałało się na niej gówno. Nie, to był chyba warsztat. Parkowało przed nim dziewięć quadów, maszyn podobnych do motocykla, tylko wyposażonych w cztery grube koła. Stały rzędami po trzy w jednym, równiutko, jak na wystawie.

– Może to hondy – rzuciła Patty. – I ktoś z obsługi będzie umiał naprawić nasz wóz.

Trzeci i ostatni budynek wyglądał jak zwykły dom, tyle że bardzo duży. Opasywała go weranda, na której stały bujane fotele.

Shorty podjechał nieco bliżej i znów zahamował. Asfalt kończył się płytkim uskokiem. Dziesięć metrów przed pu-

stym parkingiem. Za chwilę mieli wjechać na teren utrzy-
mywany przez właściciela motelu i wprawnym okiem
rolnika uprawiającego ziemniaki ocenił, że jest to plac po-
kryty w równej części żwirem i błotem, pełen chwastów
zarówno żywych, jak i dawno uschniętych. Natychmiast
wypatrzył co najmniej pięć, których wolałby nie widzieć
na swoim polu.

Koniec asfaltu był jak próg. Jak ostateczna decyzja.

– No i co? – powtórzył.

– Pusto tu – odparła Patty. – Nie ma gości. To nie dziwne?

– Już po sezonie.

– Tak nagle, jak za pstryknięciem palcami?

– Hotelarze zawsze na to narzekają.

– To odludzie.

– Dobrze miejsce na krótki wypad za miasto. Spokój i cisza.

Patty długo milczała.

– W takim razie chyba okej.

– Moim zdaniem to albo nic.

Patty powiodła wzrokiem po motelu, od lewej do prawej.
Klasyczne proporcje, solidny dach, gruby szalunek, świeża
farba. Dobrze utrzymany, bez żadnych krzykliwych akcen-
tów. Solidny. Jak w Kanadzie.

– Rozejrzijmy się – zdecydowała.

Zjechali z asfaltu. Honda podskoczyła i z głośnym kleko-
tem potoczyła się po nierównym parkingu w stronę recepcji.
Shorty wyłączył silnik. Początkowo nie chciał, ale wyłączył.
Tak było bezpieczniej. Na wypadek gdyby silnik się stopił
i eksplodował. Jeśli nie odpali, cóż, szkoda. I tak dobijał już
tam, gdzie dawno powinien był dobić. W razie czego zawsze
mogli wynająć pokój. Wieźli wielki kufer pełen rzeczy, które
zamierzali sprzedać. Ale kufer mógł zostać w samochodzie.
Poza tym nie mieli zbyt wiele do noszenia.

Wysiedli i weszli do recepcji. Za ladą siedział mężczyzna. W wieku jego i Patty, może parę lat starszy. Ładnie opalony, miał starannie uczesane krótkie, jasne włosy, niebieskie oczy, bielutkie zęby i przyklejony do ust uśmiech. Ale trochę do tego miejsca nie pasował. W pierwszej chwili Shorty pomyślał, że znalazł się tu jak te dzieciaki w Kanadzie, które bogaci rodzice wysyłają latem do jakiejś głupiej roboty na zadupiu, żeby wzbogaciły swoje CV, poszerzyły horyzonty albo się odnalazły. Takie tam bzdety. Ale ten był na to pięć lat za stary. I powitał ich z miną gospodarza mówiącą: Witajcie w moim domu. Jakby należał do niego motel i cała reszta.

Może i tak było.

Patty powiedziała, że chcą wynająć pokój, i spytała, czy ktoś od tych quadów nie mógłby zerknąć na ich samochód. Jeśli nie, to poprosiliby o numer do dobrego mechanika. Najlepiej takiego z lawetą.

Mężczyzna uśmiechnął się i spytał:

– A co się stało?

Mówił jak na filmie, jak młody makler z Wall Street, taki w garniturze i krawacie. Z niezachwianą pewnością siebie. Pewnie pijał na co dzień szampana. Chciwość popłaca. Rolnicy uprawiający ziemniaki nie przepadają za takimi typami.

– Silnik się przegrzewa – odparła Patty. – I wydaje dziwne odgłosy... stuka, klekocze.

Mężczyzna posłał jej inny uśmiech, skromny, lecz władczy uśmiech młodego pana wszechświata.

– W takim razie trzeba go obejrzeć. Wygląda na to, że brakuje chłodziwa albo oleju. Łatwo to naprawić, chyba że coś przecieka. Wtedy wszystko zależałoby od tego, jakich potrzeba części. Niewykluczone, że uda nam się jakąś dopasować. A jeśli nie, znamy kilku dobrych mechaników. Tak czy

inaczej, najpierw trzeba poczekać, aż silnik ostygnie. Proszę zaparkować przed pokojem, a rano zajrzemy pod maskę.

– Rano, to znaczy o której? – spytała Patty, martwiąc się, że są już bardzo spóźnieni. Jednocześnie pomyślała, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– Wstajemy o wschodzie słońca – odrzekł mężczyzna.

– Ile kosztuje pokój?

– Święto Pracy mamy już za sobą, a ci, którzy przyjeżdżają tu fotografować jesienne liście, jeszcze nie ściągnęli, więc... powiedzmy, że pięćdziesiąt dolarów.

– Dobrze – zdecydowała Patty, chociaż dobrze wcale nie było. Ale znów pomyślała o zębach darowanego konia i o tym, co powiedział Shorty, że to albo nic.

– Damy państwu pokój numer dziesięć. Pierwszy, który odnowiliśmy. I szczerze mówiąc, jak na razie jedyny. Będziecie państwo pierwszymi mieszkańcami. Mamy nadzieję, że wyświadczycie nam ten zaszczyt.